Nro 10. R. 1836. ŚRODA 23 LISTOPADA.

ZBIÉRACZ
LITERACKI I POLITYCZNY.

IMIENINY Pani HRABINY.

W podróży mojéj do Szlązka, dnia jednego, kiedy już słońce schyłało się ku zachodowi, przejeżdżałem właśnie przez piękną wieś, i widząc konie już mocno zmordowane, kazałem furmanowi zajechać na nocleg do dworu jéj właściciela P. Hrabiego, od dawna mi znajomego. — Gospodarze uprzéjmie nas przywitali i bardzo nam byli radzi; kazano natychmiast wyprzęgać konie, i rzeczy znosić; — ale przyjazd mój, stał się dla domu tego szczęśliwą wieszczbą jeszcze większéj liczby gości; gdyż niebawem postrzegłem zbliżające się do dworu cztéry piękne pojazdy, którym towarzyszyło kilku młodych mężczyzn konno. — Wszyscy wybiegliśmy natychmiast na ganek spotykać gości. — Damy i mężczyzni byli wystrojeni. — Po długich i najczulszych wzajemnych przywitaniach i serdecznych uściskach udaliśmy się do ogrodu, gdzie znaleźliśmy już kilka stołów, zastawionych różnemi owocami i konfiturami. — Rozmowa natychmiast wszczęła się, bardzo żwawa i wesoła; coraz przybywało więcéj gości; nakoniec całe towarzystwo podzieliło się na liczne grupy. — Dzieci biegały po ogródku za motylami i kwiatkami, lub stojąc około stolików spozierały żałosném okiem na zastawione przysmaczki.

Cały ten zjazd kazał mi się domyślać jakiéjś wielkiéj fety. — Jakoż, na zapytanie moje w tym przedmiocie, odpowiedziano mi podobnież pytaniem: « czy nie wiesz że jutro imieniny Hrabiny? » — Wkrótce dowiedziałem się, iż mają grać bardzo piękną operę, z muzyką dorobioną przez nowo przybyłego kapelmajstra, który sam nawet potrzebne kulisy i transparenty malował.

Jakoż po herbacie zaproszono nas wszystkich do teatru. — Wszedłszy na parter postrzegłem orkiestrę, a raczéj pozbieraną druży-

nę, między któremi cieniowało się i kilka bród żydowskich. — Kapelmajster, *alias* dyrektor, stał pośrodku, na wielkiéj beczce, do połowy zakopanéj w ziemi i oklejonéj żółtym papierem, oczekiwał skinienia, dla dania znaku orkiestrze, która najokropniéjszym hukiem i łoskotem kilku bębnów i przeraźliwym wrzaskiem trąb fałszywych, oznajmiła nam o przybyciu JW. Hrabiny z całym jéj orszakiem. — Natychmiast po tym wspaniałym przywitaniu, zaczęto i uwerturę. — Pełen oczekiwania nowéj muzyki, nowego kompozytora, cały skoncentrowawszy się w uchu, usłyszałem wreszcie nieznośną i nudną uwerturę z Kalifa Bagdadu, po zakończeniu któréj, ozwał się jeszcze głos flotrawersu i trąby, które przez omyłkę, dwa takty ostatnie późniéj skończyły. Nareszcie podjęto kurtynę i zaczęto śpiewać.

Cała ta opera zapowiedziana za nową, była tylko zbieraniną wyjątków z różnych oper Rossiniego. Kilku muzykantów nie znając nót, musiało mieć ciągle oczy wlepione w dyrektora, na którego skinienia brali akordy lub zaczynali riturnelle; dla tego też właśnie, że musieli grać z pamięci, były częste nieporozumienia — I tak, nie raz w chwili gdy dyrektor kiwnął pałeczką ażeby flotrawers zaczynał solo, zamiast flotrawersu odzywała się waltornia, lub zamiast klarynetu ogromny jarmarkowy bęben. — Przygody takie nieustannie wyprowadzały z cierpliwości ulokowanego na żółtéj beczce dyrektora, który ciągle musiał się gniewać i łajać podkomendnych mu synów Izraela. — Nieraz w czasie śpiewanego tria, duetu lub aryi dawały się słyszeć groźne monologi: «nie to łajdaku!» — «prędzéj gałganie!» — «to z trzeciego aktu!!» i t. p. Ale nie dość na tém. Przy końcu piérwszéj zwrotki jednéj aryi, dyrektor kiwnął kilka razy pałeczką aby grano prędzéj. Muzyka, niezrozumiawszy, zaczęła grać riturnellę od następującego duetu.— Tu, zniecierpliwiony kapelmejster chciał dotknąć laseczką najbliższego skrzypka, aby go wstrzymać: lecz straciwszy równowagę padł jak długi na parter. — Powstały okrzyki, bravo! bravo! fora! fora! Biedny dyrektor, pomimo szwanku poniesionego w starych swoich kościach, musiał wstać żwawo, dla dalszego kierowania operą. Prócz tego, panna śpiewająca aryę, od mocnego śmiechu dostała tak silnéj

palpitacyi serca, że nie tylko nie mogła zaczętéj pieśni skończyć, lecz nawet i w drugim akcie okazała się jeszcze do śpiewu niezdolną, co nie mało kłopotu zwiększyło: gdyż właśnie na końcu opery, miały być różne transparenty, z sutemi dla solenizantki powinszowaniami. — W czasie więc antraktu, wezwano za kulisy dyrektora na walną radę; na któréj, na wniosek kapelmajstra, uchwalono, iżby zamiast *prima-dony*, inna aktorka rękami tylko machała na scenie, podczas kiedy same śpiewy exekwować będzie za kulisami ekonom, który jeden tylko tak dobrym jest muzykiem, iż może od razu zaśpiewać każdą aryą. — Niepodobna opisać skutku jakie to składkowe śpiewanie na słuchaczach sprawiło, kiedy na scenie widziano młodą panienkę wyrabiającą tylko rozmaite grymasy, wtedy, gdy z za kulisów odzywał się głos basowy ekonoma, i chociaż tenże miał głos bardzo mocny i donośny, mało go było słychać śród powszechnego śmiechu.

Tym więc sposobem exekwował się drugi akt opery, uratowany jedynie mądrą radą i genialnym dowcipem dyrektora muzyki. Przy samym zaś końcu tenże chcąc więcéj tempu przyśpieszyć i z wielkim ogniem zakończyć, zaczął dawać nogą takt coraz mocniéj, nareszcie z całéj siły: do tego stopnia, że aż wysadził dno beczki, w którą zapadł się z wielkim łoskotem, razem z opuszczeniem kurtyny. — Że beczka ta do połowy napełnioną była mąką, jako wzięta naprędce ze spiżarni, ztąd też gwałtowne spuszczenie się tłustego dyrektora sprawiło okropną explozyą, podobną do gwałtownego wybuchnienia Wezuwiusza; tak, że cały parter w mgnieniu oka, jakby czarodziéjską siłą, został napudrowany i ubielony. — Wszystkich głowy posiwiały, a twarze i czarne galowe fraki okryły się śrzonem. Nagła ta i niespodziewana metamorfoza tak przestraszyła wszystkich, że nikt nie mógł naprędce pojąć coby to miało znaczyć. — Dopiéro gdy chmura mączna cokolwiek osiadła, postrzeżono, że dyrektor zawalił się w beczkę, lecz dawał jeszcze znaki życia, wołając przestraszonym głosem «ratujcie! ratujcie!— Razem z nim odezwał się płaczliwy głosik p. Kleofasy (staréj zasłużonéj panny) «S. Magdaleno, co za nieszczęście!» Wszyscy myśleliśmy, że ją wypadek dyrektora

tak mocno obchodzi; lecz dalsze jéj słowa wyprowadziły nas z błędu, i dowiedzieliśmy się, o co rzecz idzie. — «Zginęła — powtarzała p. Kleofasa — moja doświadczona, i od roku suszona mąka na baby! Dusza moja przeczuwała to nieszczęście! Wszakże nie chciałam dawać téj beczki!» — Muzykanci, niezważając bynajmniéj na te żale, ciągle sobie grali z całéj siły nowego mazurka, który napisał na imieniny Hrabiny dyrektor. Huczna ta muzyka jeszcze więcéj dodawała świetności i uroczystości temu komiczno-tragicznemu wypadkowi.

Tymczasem, Hrabia, na czele kilku lokajów, zajął się wyciąganiem z beczki biednego dyrektora. Lecz ciało jego tak było tłuste i tak mocno ugrzęzło pomiędzy klepkami, iż dla wydobycia go, musiano porąbać obręcze. — Nareszcie ujrzeliśmy go podobniéjszym do upiora niżeli dyrektora: oczy zupełnie miał zasypane, tak, iż nie mógł przéjrzeć, a gęba tak napełniona była mąką, iż nie mógł ani słowa przemówić; lecz wypiwszy kilka sporych kielichów kminkówki, przemówił do całego towarzystwa aby byli spokojni: że się bynajmyiéj nie potłukł; że zapewne mąka w beczce ratowała go od nieszczęścia, i że tylko mocno się przestraszył, myśląc, iż się pod nim ziemia rozstąpiła!

Po téj przygodzie, jednogłośnie uradzono, aby akt trzeci opuścić; szczególnie tego życzyła sobie młodzież, dla rozpoczęcia tańców. Jednakże najgłówniéjszych rzeczy kantaty i transparentu opuścić wcale było nie podobna. Wkrótce więc wszyscy zajęli swoje miéjsca, i po odkryciu kurtyny, ukazał się pyszny, ogromny i sentymentalny transparent, w środku którego jaśniała złoto-brylantowa cyfra solenizantki, otoczona stósownemi do okoliczności godłami, napisami, i ozwała się całym chórem kantata, któréj wiersze, starannie na złotym papierze napisane, wprzódy jeszcze całemu towarzystwu porozdawane były. Oto jest wierna jéj kopia:

Witaj Jaśnie Wielmożna Pani!
Któréj oko wszystkich rani.
W ofierze składamy tobie
Wszystko, co sami mamy sobie!

Więc racz przyjąć od nas one,
Twojéj sławie poświęcone
Kwiaty, śpiewy, czucia duszy!
Jaśnie Wielmożna Pani! twa dobroć
kogóż nieporuszy?!

Ah Jaśnie Wielmożna Pani!
Wszystko robiliśmy sami.
Przyjm girlandy i ten wieniec
Od najczulszych wdzięcznych serc.
A dla męża i naszych pociech,
Hrabina, sto lat żyje niech!!

Razem z wymówieniem ostatniego słowa *niech*, wielki bęben, z nadzwyczajną siłą uderzony, pękł z łoskotem, co znowu nieco przestraszyło kobiety. — Muzyka kantaty zupełnie odpowiadała wielkości stylu poezyi. — Pierwszy raz w życiu zdarzyło mi się być na takiéj operze; po skończeniu któréj, dzieci pobiegły do Hrabiny, rozczulonéj aż do łez, oddawać girlandy i bukiety z róż; nakoniec cała kompania udała się do wielkiéj i rzęsisto oświeconéj sali, gdzie tańcowano kostiumowe kadryle aż do rana.

GRZECZNOŚĆ.

Światły jeden człowiek, mało obznajmiony ze skutkami miłości własnéj płci pięknéj, usiadł przypadkiem, pomiędzy panią *Stael* i kobiétą rzadkiéj piękności. — Zdawał się być pogrążony w najgłębszém zadumaniu. — «O czemże to WPan myślisz w téj chwili?» — Zapytała go autorka *Korynny* — «Myślę, odpowiedział, o szczęściu, które mnie nagle umieściło, między zasługą i pięknością.» — «Lubo ani jednego, ani drugiego nie posiadasz,» — przerwała uszczypliwie pani *Stael* — pani *Stael*, która chciała uchodzić za piękną, osądziła za zbyt mało pochlebną pochwałę, ściągającą się tylko do jéj talentu. — Nie dowodzi to jednak bynajmniéj, aby osoba, która na siebie tę przykrą odpowiedź ściągnęła, uchybiła w czemkolwiek względom należącym się miłości własnéj kobiet, przy nim siedzących. — Nie można było powiedzieć grzeczniéj — jednéj, że jest brzydką — drugiéj, że zbywa jéj na rozumie.

Własność teraźniéjszéj *grzeczności*, polega na tém, aby odkrywać tylko to, co jest godném pochwały; a ukrywać to, co jest naganném — wychwalać zalety, przemilczać wady. — *Grzeczność* podobna, dogadza zarówno chwalącéj i chwalonéj stronie. — Chwalącéj, bo nie naraża jéj na nieprzyjemne wymówki — chwalonéj, bo chociażby wiedziała, iż powiedziana jéj grzeczność, nie zupełnie jest prawdziwą, miłość wła-

sna nie dozwala jéj przyganiać, albo się za nią urażać.

Grzeczność każe wychwalać usiłowania przedsiebierców widowisk, dobór sztuk, dobrą chęć artystów, nie zrażonych złym gustem publiczności — ale przy tém, pokrywać przyczyny, dla czego ta lub owa sztuka utrzymać się nie mogła, dla czego wystawienia dalsze mniéj są dokładne jak piérwsze, dla czego nakoniec, teatr mało uczęszczanym bywa.

Grzeczność każe wychwalać występującéj artystki piękne ułożenie, przyjemne rysy twarzy, wdzięki i zdatność — nie przemilcza zarazem, częste opuszczanie, zapominanie się na scenie, nie dokładne zgłębienie roli i onéj wykonanie.

Grzeczność unosi się nad powierzchowném wydaniem jakiego dzieła, wychwala druki, papier i ozdoby — ale oddając winne pochwały drukarzowi, zapomina, czyli raczéj nie chce powiedzieć, że obraża język i smak, że nakoniec autor, zwrócił całą swoją uwagę na objętość i liczbę tomów.

Człowieka gwałtownego, gniewliwego i uprzedzonego, *grzeczność* wystawia jako człowieka szczerego, śmiało przy swoim obstającego zdaniu. — Dworaka umiejącego zastósować się do panującéj opinii, przyjaciela całego świata, pojednawcę najsprzeczniéjszych między sobą interessów, — przytacza jako wzór dobroci i łagodności charakteru. — *Grzeczność* wychwala przymioty rozumu, dowcip, miłość nauk w człowieku, w którymby tylko upatrywać winna przymioty człowieka stanu.

Przyznając umiarkowanie podłym, dobroczynność marnotrawcom, oszczędność skąpcom, rozsądek nieoświeconym, skromność niedołężnym, odwagę zuchwałym, można bardzo łatwo pozyskać sławę człowieka posiadającego *grzeczność* w najwyższym stopniu.

POCIESZENIE.

Murarz pracujący koło miészkania w Longwood, na Wyspie Świętéj Heleny, spadł z rusztowania właśnie pod nogi Napoleona, który pomógłszy mu się podniéść, pocieszał go temi słowy: «Nie ci nie będzie, Przyjacielu, wszak mój upadek był nierównie znaczniéjszy, a precież zdrów zupełnie jestem.

SZARADA.

Na prost pociecha rolnika,
Na wspak słaby wzrok przenika.

ROZMAITE WIADOMOŚCI.

Polska.

Warszawa. Wiadomo powszechnie, że wciągu tegorocznego lata, słabość *Cholera Morbus* zwana, zjawiła się w Czechach, z tamtąd przeszła do Morawii, a nakoniec pokazała się i w Galicyi. Rozeszła się nawet pogłoska, jakoby doszła już i do Warszawy, co w mieście obudziło wieloliczne rozumowania. Lubo Rządowi wiadomo, że cholera rzadko bardzo, lub prawie nigdy nie objawia się w tych miéjscach, w których już raz była, nie pominął przecież przedsięwzięcia wszelkich środków, zmiérzających do zabezpieczenia powszechnego zdrowia. W tym celu wysłał do Galicyi posiadającego zaufanie Lékarza, polecając mu zbadanie na miéjscu postępu i stopnia téj choroby. Spełniwszy dane sobie polecenie lékarz, powrócił i oznajmił rządowi, że cholera postępując z Morawii do Galicyi, ominęła Kraków i okazała się w Tarnowie, i to w samém tylko mieście, nie pozostawiając swojego śladu ani w jednéj ze wsi, które je otaczają; że z tamtąd dostała się w jednym tylko punkcie w Królestwo Polskie do gminy Ksany, gdzie umarły 3 osoby, i że od trzech tygodni w rzeczonéj gminie dostrzeżona, dotąd się daléj nie rozszerzyła. Jakkolwiek zatém rapport lékarza stwiérdził to spostrzeżenie, o którém się nadmiéniło, że cholera mija te miéjsca w których się poprzednio okazywała; i jakkolwiek ominięty przez nią obecnie Kraków, jest tego nowym dowodem, przecież pomimo to, Rząd wcześnie nie zaniedbuje przedsiębrać w Województwach z Galicyą graniczących wszelkich środków, zapewniających najskuteczniéjszą pomoc tym wszystkim, którzyby jéj potrzebować mogli. Gdyby, czego BOŻE zachowaj, zaszła konieczność użycia tychże samych środków i w drugich okolicach, naówczas nie zostanie pominiętem, czegoby rozsądek, potrzeba miészkańców i troskliwość zwiérzchności wymagać mogły. Obecnie zaś, w celu zapobieżenia szkodliwym wieściom, Rząd uznał właściwém podać do powszechnéj wiadomości tak stan, w jakim się cho-

roba o któréj mowa znajduje, jak i środki przez siebie przedsięwzięte.

———

Paryż. Niedawno na jednéj z głównych ulic, pożar tak gwałtownie ogarnął dom, iż miészkańcy zaledwie z życiem ujść zdołali; a jedna matka ratując inne dzieci, najmłodsze w kolebce zostawiła; — Kiedy z okien trzeciego piętra jéj miészkania, ogiéń wybuchał, na próżno wzywała ratunku dla biédnéj istoty! a gdy miłość własnéj matki odważyć się niémogła na tak oczywiste niebezpieczeństwo, wtedy jakaś staruszka przedziéra się przez tłumy — wchodzi do palącego się domu — niknie w kłębach dymu — wszyscy umilkli, a tę okropną cichość przerwał łoskot walącego się sklepienia. — Szlachetne to poświęcenie obudza powszechną odwagę, rzucają się wszyscy na jéj ratunek którego biédna właśnie potrzebowała będąc przywaloną gruzami. — Wyniesiono ją wraz z dziecięciem przez nią uratowanem którego babką była!. Staruszka ta żyje, lecz obawiają się czyli oparzenie i potłuczenie nie będzie przyczyną jéj śmierci.

———

W Nowym Jorku przy czynioném doświadczeniu aerostatyczném, przez nieuwagę nastąpiła Explozya, z przyczyny któréj, kilkadziesiąt przytomnych osób zostało pokaleczonych a 17 na miéjscu zabitych.

———

Jeden z dzienników Amerykańskich podaje tablice ludności niektórych znaczniéjszych miast Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnéj wynoszące z początkiem roku 1836 do 800,000 sam Nowy Jork liczy 269,875 gdzie w roku 1,790 tylko 33,131 dusz się znajdywało — Co za różnica — prawie nie do uwierzenia.

Pismo to wychodzi trzy razy w tydzień to jest: w **PONIEDZIAŁEK**, **ŚRODĘ**, i **PIĄTEK** o drugiéj po południu. — Zaliczenie kwartalne na 36 Nrów wynosi Złp. 6 i przyjmuje się w handlach Wgo Kocha i Szreibera.

W Krakowie, Czcionkami Józefa Czecha.